

Domowe piekło

Od zawsze w moim domu panowały spokój i harmonia. Generalnie rodzice dogadywali się ze sobą i rzadko kiedy wszczynali awantury, które ja i mój brat musieliśmy oglądać. Jeżeli już rodzice zaczęli się ze sobą kłócić, uciekałem do innego pokoju. Zamykałem się na klucz i mówiłem, że nie wyjdę, dopóki sytuacja się nie uspokoi. Gdy emocje opadały, wychodziłem z zamkniętego pomieszczenia i pytałem rodziców, dlaczego się ze sobą kłócą, po czym oni odpowiadali, abym nie interesowałem się takimi rzeczami, bo jestem na to za młody. Jak mi powiedziano, tak zrobiłem. Wybijał wtedy mniej więcej dziesiąty rok mojego życia. Z biegiem lat awantur było coraz więcej. Rodzice się nie dogadywali. Coraz częściej słyszałem w domu krzyki, które były bardzo uciążliwe w codziennej prozie życia oraz zaczęły zostawiać coraz większy ślad w mojej głowie. Zacząłem chodzić smutny, przybity i wykończony słuchaniem tego wszystkiego. W pewnym momencie jakiś cichy głos w mojej głowie wyszeptał mi, abym zainteresowałem się sprawą i spróbował coś zadziałać, by zmniejszyć częstotliwość występowania awantur, a najlepiej w ogóle je wyeliminować. W praktyce sprawy potoczyły się nieco inaczej, bo zamiast zejść i na spokojnie porozmawiać, wjechałem na pełnej petardzie z pretensjami. Zacząłem się unosić i obwiniać rodziców za złe samopoczucie, co niczego dobrego nie działo. Wręcz przeciwnie, zostałem wyproszony na górę i oznajmiono mi, abym się nie wtrącał, bo „to są sprawy dla dorosłych”. Takie próby naprawy obecnej sytuacji występowały wielokrotnie, do momentu kiedy nie wytrzymałem i zacząłem pyskować rodzicom. Gdy tylko usłyszałem, że rozpoczyna się kolejna kłótnia, od razu schodziłem na dół, robiłem szybkie skanowanie sytuacji, wskazując winnego, i wkraczałem do akcji. Tym winnym był mój tata albo mama, jednak w praktyce było tak, że celownik coraz częściej był kierowany w stronę taty. W taki sposób zacząłem intensywnie kłócić się z rodzicami, co odbiło solidne piętno na mojej podświadomości. Rozpoczęła się seria niezliczonych kłótni, w których głównie ja i tata prowadziliśmy potyczki słowne niczym zawodowi gladiatorzy walczący na śmierć i życie. Nie były to zwykłe wymiany słowne, bo bywało tak, że potrafiłem powiedzieć własnemu ojcu coś, czego dziecku po prostu nie wypada mówić i w drugą stronę kłótnie toczyły się w sprawie ocen szkolnych, kiedy rodzice wracali z wywiadówki, ale najczęściej były spowodowane zwykłą sprzeczką lub tak jak pisałem wcześniej, gdy tylko rodzice zaczęli się ze sobą kłócić, natychmiast dołączałem do awantury. Z powodu problemów w domu przez pewien czas miałem również problemy w szkole ze stopniami. Często mówiłem, że nauczyłem się do sprawdzianu, a w praktyce wyglądało to tak, że nie uczyłem się zupełnie, licząc na to, że ściągnę albo uda mi się wystrzelać na dwójkę. W rzeczywistości konsekwencje były takie, że dostawałem jedynkę za jedynką, co napędzało machinę wojenną. Bywało, że przez kilka dni z rzędu potrafiłem uczestniczyć w awanturach domowych. W dniu, w którym akurat było spokojnie, po prostu

byłem tymi kłótniami. Sceny ze wszystkich zdarzeń manifestowały się w mojej głowie w postaci myśli, co utrudniało mi wykonywanie codziennych czynności. Często miałem problemy ze snem. Kiedy kładłem się spać, od razu zaczynała się fala myśli, które ukazywały mi w skrócie cały miniony dzień. A w tamtym czasie był to dzień pełen kłótni i negatywnej energii. Nie za pomnę również momentów, gdy podczas potyczek słownych latały w powietrzu szklanki oraz różnego typu przedmioty, ale na szczęście nikomu nie stała się wtedy krzywda. Pewnego dnia miałem wszystkiego dość i zacząłem uciekać z domu, mówiąc, że nigdy nie wrócę do tego wariatkowa. Moje słowa brzmiały na tyle poważnie, że mama strasznie się o mnie bała i często gęsto wyruszała w podróż za mną, by mnie znaleźć. Na niewiele się to zdało, ponieważ za każdym razem wyłączałem telefon, aby nikt do mnie nie dzwonił. Zazwyczaj szedłem do lasu, gdy było ciemno, albo na pobliski minimościk. Było to miejsce oddalone jakieś pięćset metrów od domu, na ulicy prostopadłej do tej, na której mieszkam. Zastanawiałem się wtedy nad sensem życia. Codzienne awantury nie dawały mi żadnego powodu, aby myśleć, że wszystko jest w porządku. Nierzadko zresztą zazdrościłem znajomym, widząc jak ich rodzice znakomicie się ze sobą dogadują. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego tylko u mnie w domu jest jedno wielkie wariatkowo. Gdy do niego wracałem, od razu było czuć negatywną energię unoszącą się w powietrzu, która na wskroś przesywała moje ciało. Za którymś razem, gdy poszedłem na mostek, przez mój umysł zaczęły przepływać myśli samobójcze. Często chciałem z niego skoczyć, aby zrobić sobie krzywdę, lecz mój umysł nie ogarniał, że obiekt był położony może nieco ponad dwa metry nad ziemią i jakbym z niego skoczył, to bym upadł na dwie nogi i nic poważnego by mi się nie stało. Ale ego, jak to ego, lubi podkreślić atmosferę. Generalnie był to okres w moim życiu, w którym odechciewało mi się żyć. Zastanawiałem się nad odebraniem sobie życia, lecz były to tylko myśli. Nie miałem odwagi, aby to zrobić. Były momenty próby, jednak tak jak mówię, bałem się. Z tyłu głowy wiedziałem, że oprócz mnie na tym świecie jest także moja rodzina i robiąc taką głupotę, mógłbym odbić solidne piętno na ich podświadomości. Po takich przemyśleniach wracałem do domu. Były przypadki, że odbierała mnie zmartwiona mama, ale rzadko. Zacząłem się w sobie coraz bardziej zamykać. Z biegiem czasu przestałem opuszczać pokój. Nie wpuszczałem do niego nikogo. Prócz wyjścia do toalety i na jedzenie, na które ledwo miałem ochotę, nie wystawiałem nosa z moich czterech ścian. Jak już, to jadłem w samotności. Tak mi było wtedy dobrze. Najgorzej, kiedy ktoś przychodził do nas w gości. Modliłem się, aby rodzice nie wołali mnie, bym się przywitał. Nie chciałem, nie miałem siły. Wszystko, co działo się w domu, przerastało mnie. Z wielkim oporem zacząłem wpuszczać do pokoju mamę, która przychodziła posiedzieć. Nie liczyła wtedy na żadną rozmowę, bo wiedziała, że nie ma na to szans. Na początku przyszła na pięć minut. Co tydzień czas ten był wydłużany o kolejne kilka minut, aż w końcu udało jej się nawiązać ze mną jakiś kontakt. Któregoś dnia przyszła, by porozmawiać.

Powiedziała, że to dłużej tak nie może wyglądać i należy coś z tym zrobić. Na pytania mamy, co się dzieje i czy może mi w czymś pomóc, odpowiedź była zawsze taka sama – wszystko jest w porządku, nic się nie dzieje, daj mi spokój – a w środku rozrywało mnie na kawałki. Ale ona nie dawała za wygraną. Powtarzała jak mantrę, że mój problem to jej problem i żebym pamiętał, że jest obok i jeżeli powiem, o co chodzi, to postara się pomóc. W końcu udało mi się wszystko z siebie wydusić. Ulżyło mi, czułem, że zrzuciłem z siebie niesamowity ciężar, który nosiłem na barkach. Zaproponowała wizytę u psychologa, na co zareagowałem słowami, że nie jestem upośledzony ani chory na głowę, by odwiedzać tego typu miejsca. Dodatkowo bardzo przejmowałem się tym, co inni powiedzą, jak usłyszą, że chodzę do specjalisty. Ostatecznie sytuacja na tyle się pogorszyła, że w końcu sam poszedłem do mamy i poprosiłem, aby jednak umówiła wizytę. Od tego momentu zacząłem regularnie co tydzień chodzić na terapię.